

Styczeń 2025

Próba reedukacji społeczności akademickiej

Coraz bardziej powszechny trend do formułowania w ramach pewnych grup i społeczności kodeksów etycznych, wykazów dobrych praktyk czy też poradników poprawności językowej, dotarł także do uniwersytetów. Nie sposób oczywiście sprzeciwiać się temu, by dynamika społeczna ludzkich wspólnot opierała się na tolerancji i wzajemnym szacunku wynikających z akceptacji i przestrzegania zasad etycznych. Bez postawy wzajemnego szacunku praca i przebywanie w grupach i społecznościach byłoby niemożliwe. Jednak już sam fakt, że potrzebne są tego rodzaju wykazy zaleceń i rekomendacji w ramach „miękkiego prawa” (*soft law*), musi dawać do myślenia. Można by sądzić, że istnienie tego rodzaju dokumentów wskazuje na to, że coś, co kiedyś określano jako moralność publiczna, przestało w zasadzie istnieć i musi być zastąpione detalicznymi wykazami opisującymi konkretne zachowania. Można jednak również mieć uzasadnione wątpliwości, czy we wspomnianym trendzie naprawdę jedynie o to chodzi. Żeby nie być gołosłownym, warto przyjrzeć się bliżej przykładowemu dokumentowi tego typu, jakim jest „Poradnik języka równościowego na UWM” [dalej: Poradnik]. Jest to dokument opracowany na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie.

Składa się on z dwóch części, z których pierwsza dotyczy etykiety, druga natomiast stosowanych nazw, wraz z dołączonym do całości słowniczkiem terminów. Pierwsza część, odnosząca się do etykiety, dotyczy spraw oczywistych (np. form powitań i pożegnań, zwrotów typu „Proszę Pana/ Pani/ Państwa” itp.). Wydaje się, że ta część została dołączona do całości Poradnika niejako wtórnie, gdyż zawiera kwestie, które nie tylko w większości nie podlegają dyskusji, ale też są powszechnie praktykowane. Tym, co skłania do refleksji jest natomiast druga część dotycząca nazw, jak i dołączony do całości dokumentu słowniczek. W tej części omówiono m. in. kwestie dotyczące nazw żeńskich, nazw związanych z niepełnosprawnością, pochodzeniem etnicznym/narodowym, wyglądem czy religią. Również w tych obszarach nie ma jakichś wielkich uduźnień, poza być może niektórymi feminatywami, z których wiele kobiet niekoniecznie byłoby

zadowolonych (np. profesorka, magisterka czy doktorka) czy też poza uznaniem w Poradniku za nieodpowiednie określić Murzyn czy Indianin.

Tym natomiast, co zwraca uwagę, jest część związana z nazwami osób związanymi z orientacją seksualną i tożsamością płciową. Biorąc pod uwagę fakt, że akurat tej kwestii poświęcono w Poradniku i w dołączonym słowniczku proporcjonalnie najwięcej miejsca, nie można się oprzeć wrażeniu, że stanowi ona centralny punkt ciężkości całego dokumentu i że jego celem jest nie tyle promowanie postawy tolerancji i szacunku wobec osób określających siebie jako niebinarne, ile skłonienie do akceptacji genderowej koncepcji płci i związanej z nią postulatów i roszczeń formułowanych w ramach środowisk LGBTQ+.

Nazwy, które zostały wskazane jako odpowiednie, a także odpowiadające im pojęcia w dołączonym słowniczku (7 stron!), pochodzą wyłącznie z kontekstu genderowej wizji płci. Co więcej, w dokumencie stwierdza się, że „należy unikać przyjmowania założeń, że heteroseksualność i binarna tożsamość płciowa są normą [...]” (s. 16). Teoria genderowa zakłada, że takie założenie jest nieprawdziwe, będąc jedynie wynikiem utrwalonych w społeczeństwie (przez język i kulturę) stereotypów, które należy wykorzenić, gdyż są rzekomo krzywdzące. Innymi słowy dotychczas obowiązująca (i podzielana przez ogromną część światowych społeczeństw) wizja płci zostaje unieważniona, a nawet uznana za obraźliwą. Osoby, których dotyczy ten fragment Poradnika, są w nim traktowane wyjątkowo, czego wyrazem ma być zalecenie każdorazowego pytania ich, jak by chciały, by się do nich zwracano (s. 18). Najbardziej kuriozalnym fragmentem zaleceń jest passus dotyczący zaimków osobowych. Sugerowane w Poradniku neologizmy zaimkowe typu: oni/e / ich, ony/ich lub onie/ich, czy też formy pisane: onx, jex, on/a, on_, je_, on*, je*, nie mają nic wspólnego z naturalnym rozwojem języka polskiego. Wprowadzanie tego typu form językowych, które nie tylko nie mają nic wspólnego z regułami poprawnej polszczyzny, ale są całkowicie kontrintuicyjne, trudno nazwać aktem szacunku i tolerancji. Biorąc pod uwagę wielość wariantów płci i związanych z nimi tożsamości w ramach społeczności LGBTQ+, przestrzeganie tych zaleceń oznaczałoby konieczność karkołomnego uczenia się nowych form językowych w przypadku każdorazowego spotkania osoby określającej siebie jako niebinarna.

Obok tych praktycznych problemów, trzeba jednak zwrócić uwagę na sprawę zasadniczą. Fakt, że część europejskich i światowych politycznych, akademickich i

medialnych elit w sposób ofensywny, a niekiedy nawet wręcz agresywny, propaguje ideologię genderową, nie oznacza wcale, że genderowa wizja płci, a tym samym osoby ludzkiej, jest wizją naukowo udowodnioną i jedynie słuszną. Wręcz przeciwnie, ogromna większość ludzi żyjących dzisiaj na Ziemi w spontaniczny sposób odczuwa harmonijną zgodność między płcią biologiczną a jej psychologicznymi komponentami za stan normalny, a samoświadomość osób, które nie potrafią siebie określić jako heteroseksualne – za psychoseksualną dysfunkcję. Wcale nie musi to oznaczać – i w ogromnej większości przypadków też nie oznacza – odrzucenia, pogardy, braku szacunku, czy tolerancji. Możliwe jest przyjęcie człowieka w jego inności i odpowiednia do tego postawa pełna szacunku, bez konieczności akceptacji jego światopoglądu i związanych z nim oczekiwań i żądań. Wymaganie tolerancji i szacunku nie musi i nie powinno oznaczać przymusu akceptacji wizji świata i człowieka, jaki inni uznają za swój. Próbkę reedukacji społeczności akademickiej, a ostatecznie całego społeczeństwa w tej dziedzinie, trzeba uznać za wyjątkowo kiepski pomysł.

Luty 2025

Boska sztuczna inteligencja?

Trudno się dziwić, że o sztucznej inteligencji robi się coraz głośniej. Nie jest ona jedynie perspektywą dalekiej przyszłości, ale w znacznym stopniu już dzisiaj kształtuje naszą codzienność. W połowie stycznia 2025 r. głos w tej sprawie zabrała również Stolica Apostolska w obszernej o podtytule: *Nocie o relacji między sztuczną inteligencją a inteligencją ludzką*. Jej główny tytuł *Antiqua et nova* („Stare i nowe”) nawiązuje do słów Jezusa z Ewangelii Mateuszowej: „Každy uczony w Piśmie, który stał się uczniem królestwa niebieskiego, podobny jest do ojca rodziny, który ze swego skarbca wydobywa rzeczy nowe i stare (Mt 13, 52). Nota została opracowana i wydana przez dwie ważne watykańskie dykasterie: Dykasterię Doktryny Wiary oraz Dykasterię ds. Kultury i Edukacji. W dokumencie doceniono najpierw sam fakt wytworzenia przez człowieka tak potężnego narzędzia, jakim jest sztuczna inteligencja. Nie ulega wątpliwości, że jest to niezwykle osiągnięcie ludzkiego rozumu, które może rzeczywiście zrewolucjonizować życie

społeczeństw. Nie bez racji papież Franciszek określił jej skonstruowanie jako „epokową zmianę”.

Jak każde osiągnięcie ludzkiego geniuszu, sztuczna inteligencja jest narzędziem, które może zostać użyte w różny sposób. Wśród pozytywnych zastosowań wymienia się w nocy zwiększone możliwości promocji dobra wspólnego, zastosowania diagnostyczno-terapeutyczne w medycynie, użycie sztucznej inteligencji w zakresie edukacji i kultury, a także w zakresie ochrony środowiska. Poważny etyczny niepokój wzbudza natomiast perspektywa użycia sztucznej inteligencji do koncentracji władzy w ręku niewielu firm czy ośrodków decyzyjnych, które dzięki „inteligentnym” aplikacjom mogą wpływać na decyzje milionów ludzi, nie tylko w sferze handlu i ekonomii, ale także moralności i polityki. Niepokój budzą także ingerencje w sferę prywatną oraz perspektywa totalnej kontroli obywateli, a przede wszystkim zastosowanie sztucznej inteligencji w działaniach wojennych.

To, co w watykańskiej nocy jest ciekawe, to refleksja nad samym znaczeniem słowa „inteligencja” w odniesieniu do tego narzędzia. Podkreślenie fundamentalnej różnicy między różnymi formami sztucznej inteligencji a inteligencją ludzką jest niezmiernie istotne. Ludzka racjonalność nie ogranicza się do jakiejś specyficznej formy przetwarzania informacji, ale zawiera w sobie rozumienie i chcenie, kochanie i wybieranie w powiązaniu z całą sferą ludzkiej cielesności. Istotnym wymiarem ludzkiej inteligencji jest więc z jednej strony jej relacyjny charakter, domagający się więzi z innymi ludźmi, ale także otwarcie na całą prawdę o rzeczywistości, a ostatecznie na Boga. Sztuczna inteligencja wykazuje wprawdzie wspaniałe zdolności imitowania niektórych typowo ludzkich czynności, potrafiąc wyznaczać i osiągać cele czy też podejmować decyzje w oparciu o dostępne dane, jednak pozostaje ograniczona do ram logiczno-matematycznych. Ludzka inteligencja nie ogranicza się do funkcjonowania, ale obejmuje rozumienie i aktywną relację do rzeczywistości w wielu jej wymiarach. Wszelkie próby przyrównywania sztucznej inteligencji do inteligencji ludzkiej są więc naznaczone poważnym redukcjonizmem, hołdującym spłaszczonej i ograniczonej wizji osoby ludzkiej.

Na jeden element watykańskiej noty warto zwrócić szczególną uwagę: chodzi o wpływ sztucznej inteligencji na relację z Bogiem. Ten aspekt jest o tyle ważny, że perspektywa rozwoju tzw. generalnej sztucznej inteligencji (*Artificial General Intelligence*)

zaczyna się pojawiać w wypowiedziach wpływowych współczesnych autorów jako swego rodzaju ekwiwalent swoiście rozumianej boskości. Dzieje się to szczególnie w ramach transhumanizmu – nurtu myślowego i kulturowego, który z jednej strony zdecydowanie odrzuca wszelką wiarę religijną w dotychczasowej postaci, z drugiej zaś sięga z wielką predylekcją do obrazów i motywów charakterystycznych dla religii. Zdaniem przedstawicieli tej koncepcji obecny człowiek jest przejściowy (*transitory* – stąd nazwa całego nurtu) i jeśli tylko uda mu się przejąć odpowiedzialność za dalszą ewolucję ludzkiego gatunku, doprowadzi do powstania nowego człowieka. Ten hipotetyczny post-człowiek jest opisywany przez autorów transhumanistycznych jako ucieleśnienie wszystkich pragnień i tęsknot obecnie żyjących ludzi, z pragnieniem nieśmiertelności (lub przynajmniej długowieczności w nieskazitelnej kondycji zdrowotnej) na czele. Jest to albo człowiek „boski”, obdarzony dzięki sztucznej inteligencji nieograniczoną wiedzą i niezwykłymi zdolnościami albo też odcieleśniona istota, będąca samym uwolnionym od ciała umysłem i przeniesionym do sieci elektronowych. Nie wszystkie prognozy są jednak tak pozytywne. Niektórzy autorzy przewidują usamodzielnienie i uniezależnienie się sztucznej inteligencji, która uwolniona od ludzkiej kurateli stworzy światową strukturę, będącą w stanie całkowicie kontrolować ludzkość lub nawet ją unicestwić. Może też stać się dla ludzi instancją, w której będą oni lokować nadzieje zbawcze i oczekiwać od niej ostatecznego spełnienia, a więc stanie się czymś w rodzaju algorytmicznego bóstwa. Tym ważniejsze wydaje się trzeźwe spojrzenie na tę kwestię, które docenia wszystkie atuty, ale nie lekceważy także zagrożeń.

Nota kończy się wezwaniem do mądrości, która wykracza poza samo gromadzenie wiedzy i umiejętności. Dopiero dzięki prawdziwej mądrości serca ludzie będą zdolni używać nowych technologii w sposób umożliwiający promocję ludzkiej osoby i całego społeczeństwa.

Marzec 2025

O pokucie i pokusach

Kluczową treścią Wielkiego Postu jest wezwanie do pokuty. Słowo to jest czasem rozumiane w sensie surowego umartwienia, bolesnego wyrzeczenia i rezygnacji z tego, co przyjemne. Owszem, tego typu praktyki mieszczą się także w pojęciu pokuty, ale nigdy

nie powinny one być rozumiane jako cel sam w sobie. Człowiek może sobie nakładać najbardziej surowe ograniczenia i jednocześnie nie doświadczyć nigdy mocy chrześcijańskiej pokuty. Właściwie rozumiana pokuta oznacza podjęcie wysiłku w kierunku zmiany myślenia. By zmiana myślenia, a wraz z tym także zmiana priorytetów życiowych, a więc przywrócenie Bogu pierwszego miejsca w życiu, mogła się dokonać, trzeba „odkleić się” od tego, co zniewala lub po prostu zajmuje zbyt dużo miejsca w duchowym świecie człowieka. Każda próba zmiany postępowania bez głębokiej przemiany w zakresie myśli, zamiarów i motywacji, będzie skazana na porażkę. Ujawnia się tu fundamentalne prawidło chrześcijańskiej egzystencji. Zgodnie z nim żadna trwała i istotna przemiana duchowa nie dokona się bez łaski Bożej. Ale jednocześnie nic wartościowego nie dokona się w ludzkiej duszy bez osobistego wysiłku, któremu towarzyszy modlitwa i konfrontacja z prawdą o stanie własnego wnętrza. Do tej konfrontacji należy także przyjrzenie się mechanizmom, które prowadzą do grzechu i w ten sposób niszczą duchowe zdrowie człowieka. Jednym z nich jest sposób, w jaki jesteśmy kuszeni. Kuszenia doświadczamy zazwyczaj w formie pokusy do czynienia zła. Ale ta klasyczna pokusa jest, jak się okazuje, jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Zazwyczaj człowiek potrafi ją w porę zidentyfikować i nawet jeśli zdarza mu się jej ulec, szybko się od niej odwraca. Kuszenie bywa jednak o wiele bardziej finezyjne.

Próbując opisać anatomię pokusy, warto zwrócić się do wypróbowanych mistrzów życia duchowego. Należy do nich niewątpliwie Tomasz Merton (1915-1968), amerykański katolicki kapłan i mnich – członek kontemplacyjnego zakonu trapistów. Jego autobiograficzna „Siedmiopiętrowa góra” (1948) czy też „Posiew kontemplacji” (1849) należą do klasyki katolickiej literatury ascetycznej. To właśnie w tej ostatniej książce Merton omawia temat pokusy, odstawiając m.in. taktykę kusiciela. Zdaniem Mertona, Szatan dysponuje całym systemem teologii i filozofii, dzięki któremu może wpływać na każdego, kto chce go słuchać. Merton nazywa ten system „teologią moralną Szatana”.

Szatan próbuje najpierw przekonać człowieka, że nie tylko świat rzeczy stworzonych, ale też ludzie, są źli – i tacy wyszli z ręki Boga. To więc sam Bóg jest ostatecznie twórcą zła. Kto ulega tej sugestii, zaczyna wszędzie dostrzegać grzech, koncentruje się na nim oraz na obrazach końca świata i potępienia ludzi złych. Przy tym nie tylko sądzi, że sam zdoła uniknąć losu potępionych, ale znajduje też dziwną satysfakcję w myśli, że tylu innych pójdzie na zatracenie. Potępienie grzechu czynionego

przez innych jest tu połączone z przekonaniem, że własny grzech jest znikomy i że Bóg wcale nie zwraca na niego uwagi. Nie ma więc też naglącej potrzeby nawrócenia.

Innym fortem kusiciela jest sugerowanie, że każda przyjemność jest grzechem. Gdy człowiek da się już o tym przekonać, zdanie to zostaje jednak odwrócone: każdy grzech jest przyjemnością. Człowiek nie może jednak żyć, unikając wszelkich przyjemności, co oznacza, że nie ma też możliwości nie popełniania grzechów. Ostateczny wniosek z takiego oglądu rzeczywistości brzmi: to, czego nie da się uniknąć, nie może być grzeszne. W ten sposób samo pojęcie grzechu traci sens, więc człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak przestać się nim przejmować i żyć według własnych zasad, zaspokajając swoje pożądania.

Wreszcie Merton pokazuje coś, co stanowi niewątpliwie najbardziej wyszukaną szatańską taktykę: „Szatan nie lęka się głosić praw Bożych, byle tylko mógł głosić je na swój sposób”. Szatan może zatem kusić także do dobra, byle tylko człowiek spełniał je w taki sposób, jaki kusiciel mu podsuwa, a więc w takim właśnie czasie, w takim właśnie zakresie i jedynie w określony sposób – a więc pod auspicjami Złego. Kto ulega tej pokusie, będzie np. z całych sił angażował się w dobre dzieła, zaniedbując jednak swoje obowiązki małżeńskie i rodzinne, rujnując swoje zdrowie, odkładając na później wymogi podstawowego szacunku dla bliźnich i prowokując nieustanne konflikty. Te ostatnie biorą się z przekonania, że odkryto się patent na zbawienie świata. A skoro tak jest, to trzeba go wprowadzić w czyn, nie bacząc na środki, po które się sięga i na skutki, do jakich to prowadzi.

Niezależnie od tego, czy doświadczamy tego rodzaju pokus czy też nie, jedno jest pewne: to właśnie gotowość do wdawania się w dialog z pokusą, a więc ostatecznie z kusicielem, bywa decydującym krokiem do ostatecznej kapitulacji wobec naporu zła, nawet jeżeli pomiędzy tym niewinnym początkiem a finalną klęską mija sporo czasu. Ostrzeżenie przed paktowaniem ze złem pojawia się już na pierwszych kartach Biblii, w opisie grzechu pierwszych ludzi (Rdz 3) i zostaje potwierdzone przez duchowe doświadczenie największych chrześcijańskich myślicieli i duchowych przewodników. Poszukując więc najlepszych dróg wielkopostnej przemiany życia, warto do nich sięgać.

Kto przed dwudziestu laty świadomie przeżywał te wydarzenia, doskonale rozpoznaje, że zestaw cyfr: 21.37 oznacza godzinę, w której życie Jana Pawła II. dobiegło końca. Arcybiskup Leonardo Sandri, który krótko potem zwrócił się do zgromadzonych na Placu Świętego Piotra tłumów, poinformował, że Ojciec Święty odszedł do domu Ojca. Cisza, jaka wtedy zapadła w tłumie modlących się, nieskrywane, szczere łzy, a potem nie milknące oklaski były początkiem całego ciągu niezwykle wydarzeń, jakie nastąpiły po śmierci polskiego papieża. Trudno się dziwić, że właśnie w ten sposób: „21.37” został zatytułowany dokumentalny film Janusza Pilisa, opowiadający o reakcjach pojedynczych osób, całych społeczności, a nawet narodów po śmierci Jana Pawła II. Nie są przesadą stwierdzenia, że był to moment „wielkiego zatrzymania”. Wielu obserwatorów pisało o wrażeniu, że właśnie dzieje się coś, co ich przerasta. Kłótnie, nie tylko polityczne, ale i rodzinne czy grupowe, przygasty w tym czasie. Odczuwało się też niezwykłą wież i jedność ponad wszelkimi podziałami. Dotyczyło to szczególnie Polaków.

Chociaż nadzieje na to, że śmierć Jana Pawła II zapoczątkuje jakościową zmianę w polskim życiu społecznym, a przede wszystkim w polskiej polityce, nie sprawdziły się, a istniejące podziały i wulgaryzacja dyskursu społecznego uległy nawet zaostreniu (szczególnie po katastrofie smoleńskiej w 2010 r.), to jednak traktowanie tego doświadczenia jedynie w kategoriach chwilowej emocjonalnej egzaltacji z pewnością nie odpowiada prawdzie. Przeżycie żałoby po Janie Pawle II głęboko naznaczyło tych, dla których był on duchowym przewodnikiem lub chociażby znaczącą postacią w historii naszego narodu. Nieuprzedzone spojrzenie na Jana Pawła II z perspektywy dwudziestu lat jakie upłynęły od jego śmierci jeszcze dobitniej pokazuje wyjątkowość tej osoby. Dzięki długiemu pontyfikatowi potrafił on nadać wierze katolickiej nową dynamikę.

Gdyby chciało się scharakteryzować życie Jana Pawła II jednym słowem, to można powiedzieć, że było to spójne życie, życie zintegrowane wokół wiary w Jezusa Chrystusa Odkupiciela Człowieka i wokół głoszenia słowem i życiem Jego niezłomnej miłości do człowieka. Ta spójność osobowości polskiego papieża stanowiła dla wielu wierzących punkt odniesienia i oparcia oraz źródło nadziei. Dla wielu wierzących Jan Paweł II stał się rzeczywiście „skątą schronienia”, dla krytyków był natomiast „kamieniem odrzy”. Krytyka jego nauczania, podejmowanych decyzji i stylu sprawowania urzędu papieskiego,

która w środowiskach liberalnych była wyrażana już za życia polskiego papieża, a nasiliła się w dekadę po jego, śmierci, nie potrafiła jednak zaćmić jego zasług i pomniejszyć świętości jego życia.

W dwudziestą rocznicę jego śmierci warto raz jeszcze wydobyć i rozważyć niewielki wątek z nauczania Jana Pawła II, który dotyczy także osobiście jego samego. Chodzi o sposób, w jaki Jan Paweł II mierzył się z myślą o nadchodzącym kresie własnego życia. Jego autorefleksja dotycząca tej tematyki została w przejmujący sposób zawarta w *Liście do Osób w Podeszłym Wieku*, ogłoszonym w 1999 r., prawie sześć lat przed śmiercią papieża. Papież zwraca się w nim do osób w podeszłym wieku jak do swoich rówieśników, a jego analiza blasków i cieni „jesieni życia” nosi wyraźne autobiograficzne motywy. Papież z wielką oczywistością używa określenia „my, ludzie starzy” (nr 14). Wielu osobom w tym wieku szczególnie trudna wydaje się myśl o nadchodzącym „zmierzchu”, czyli zbliżającej się śmierci, tym bardziej, że pytanie o sens śmierci znajduje współcześnie wiele pesymistycznych odpowiedzi. Jan Paweł II ich nie podziela, wskazując na nadzieję, jaka płynie z Ewangelii: „Chrystus, przekroczwszy bramy śmierci, objawił życie trwające poza jej granicą, na owym nie zbadanym przez człowieka terytorium, którym jest wieczność” (nr 15).

Ta nadzieja pozwala Janowi Pawłowi II wyrazić wspaniałą pochwałę życia, które warto przeżyć do końca. „Mimo ograniczeń mego wieku – pisze – bardzo wysoko cenię sobie życie i umiem się nim cieszyć. Dziękuję za to Bogu!” (nr 17). Słowa te nabierają niezwyklej mocy, gdy weźmie się pod uwagę, że zostały napisane w czasie, gdy papież był już mocno naznaczony chorobą Parkinsona. Jej zewnętrzne objawy, których Jan Paweł II nigdy nie ukrywał, były szeroko komentowane w mediach. I właśnie dlatego nie ulega wątpliwości, że decyzja papieża nie retuszowania chorobowych objawów i rezygnacji z konstruowania czegoś, co dzisiaj określa się „wizerunkiem medialnym”, dodała odwagi wielu osobom starszym do twórczej obecności w przestrzeni społecznej, mimo widocznych dla otoczenia dolegliwości wynikających z choroby i starości.

W afirmacji życia, jaką wypowiada Jan Paweł II, nie ma cienia zgorzknienia czy wycofywania się z dotychczasowej aktywności, gdyż – jak powiada – „pięknie jest służyć do końca sprawie Królestwa Bożego”. Jednak nie kończy on swojej refleksji na pochwalę życia, ale spogląda z wielką nadzieją na jego kres: „Zarazem [...] głębokim pokojem napętnia mnie myśl o chwili, w której Bóg wezwie mnie do siebie - z życia do życia!” (nr

17). Na tym właśnie polega konsekwentnie chrześcijańskie podejście do śmierci: łączy ono w sobie zarówno afirmację ziemskiej egzystencji, jak i nadzieję na życie, które trwa wiecznie.

List do osób w podeszłym wieku kończy się modlitwą, w której Jan Paweł II prosi dla wszystkich wierzących o łaskę powitania chwili ostatecznego „przejścia” z pokojem w sercu, nie żałując niczego, co przyjdzie porzucić. Takie też były ostatnie chwile życia tego niezwykłego człowieka, które na nowo zostały przywołane w pamięci w dwudziestą rocznicę jego śmierci, 2 kwietnia 2025 o godzinie 21.37.

Maj 2025

Dziedzictwo Franciszka

Chociaż wielu komentatorów w ostatnich miesiącach mówiło o końcu pontyfikatu papieża Franciszka, to jednak jego śmierć w Poniedziałek Wielkanocny zaskoczyła wszystkich. Jeszcze dzień wcześniej, w Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego, nie tylko pobłogosławił zgromadzonych na Placu św. Piotra wiernych, ale chciał pozdrowić ich osobiscie, krążąc w swoim papamobile przez ponad kwadrans wśród zebranych tłumów. Zakończył się dwunastoletni pontyfikat, który głęboko naznaczył Kościół. Jak zaświadczaają niektórzy hierarchowie, José Maria Bergoglio, który rzekomo był już poważnym kandydatem na papieża w 2005 r., w czasie konklawe, w którym wybrano papieża Benedykta, przekonał do siebie kardynałów w czasie poprzedzających konklawe kongregacji generalnych. W czasie jednej z Eucharystii wygłosił pełną pasji homilię o konieczności wyjścia Kościoła z Ewangelią ku peryferiom, zarówno ekonomicznym i egzystencjalnym. I tej wizji pozostał wierny przez swój cały czas na Stolicy Apostolskiej.

Papież Franciszek był niewątpliwie papieżem pełnego pasji słowa. Przemawiał zawsze z wielkim zaangażowaniem, z pasją dla Ewangelii i – jak czytamy w Pierwszym Liście do Tesaloniczan – „z wielką siłą przekonania” (1Tes 1, 5). Wielu obserwatorów podkreślało, że jego homilie nie były wykładami akademickimi, ale miały w sobie coś z dobrych homilii zwykłego proboszcza, który mówi o tym, czym naprawdę żyje. Barwne porównania, jak np. to, że Kościół ma być jak polowy szpital, że konfesjonał nie powinien

być salą tortur, że duszpasterz ma pachnieć owcami, że trzeba zejść z kanapy i wyjść z zakrystii, na zawsze pozostaną w pamięci wiernych.

Papież Franciszek był również papieżem spektakularnych gestów. Jego decyzja o zamieszkaniu w Domu św. Marty, czyli hotelu dla kapłanów, zamiast w Pałacu Apostolskim, ale także skromne pojazdy, którymi się poruszał w czasie podróży apostolskich, miały być ilustracją porzucenia wszelkiego zbytku i bogactwa. Niektóre gesty Franciszka były na początku szokujące, np. jego wielkoczwartkowe wizyty w rzymskich więzieniach, którym towarzyszyło obmywanie nóg osadzonym. Tego rodzaju gesty były wyrazem woli Franciszka, by rzeczywiście wyjść na peryferie, ku ludziom z różnych powodów zepchniętym na margines społeczeństwa. Papież przetłumaczył schematy i utarte sposoby myślenia, ze świadomością, że to właśnie one potrafią skutecznie stłumić radość wiary, przyćmić jej piękno i zniweczyć klarowność świadectwa.

Pasja głoszenia Ewangelii została wyrażona w pięknej adhortacji *Evangelii gaudium* (2013), która była czymś w rodzaju programowego dokumentu całego pontyfikatu. Również inne oficjalne wypowiedzi Franciszka, jak np. ukazująca konsekwencje życia Ewangelią w życiu społecznym encyklika *Fratelli tutti* (2020), czy też wzruszająca encyklika *Dilexit nos* (2024), ukazująca miłość Bożą w obrazie Najświętszego Serca Jezusowego. Na tym tle tak bardzo podkreślane zaangażowanie papieża w kwestię ochrony planety, co wyraził w pierwszej w historii Kościoła encyklice poświęconej w całości problematyce ekologicznej *Laudato si* (2015), wydaje się raczej drugoplanowe. Tym niemniej encyklika ta, zupełnie nieśluszenie określana jako ukłon w stronę lewicowych środowisk ekologicznych, jest bardzo wartościowym dokumentem. Wśród wielu elementów, zawiera także centralne wskazanie na Stwórcę jako podstawę wszelkiej ekologii. Bez tego wymiaru troska o planetę przeradza się w aktywność ekologiczną pozbawioną etycznej miary, która w trosce o Ziemię nie stroni nawet od przemocy.

Emocjonalny charakter Franciszka stał się szczególnie widoczny w kwestii postępowania wobec duchownych, którzy dopuścili się przestępstw seksualnych wobec małoletnich. Papież okazał się w tych kwestiach zdecydowany i surowy, co rzeczywiście było niezbędne i przyczyniło się do zmiany podejścia do tej bolesnej kwestii w całym

Kościele. Bezprecedensowe było dymisjonowanie biskupów, którym udowodniono zaniedbania w zapobieganiu tego typu sytuacjom i dyscyplinowaniu sprawców.

Trzeba przyznać, że w spontanicznych słowach jak i gestach Franciszka był mocny powiew świeżości i prostoty, a rezygnacja z wielu elementów ceremoniału i zwyczajów watykańskich przybliżyła go do wiernych. Jednak z drugiej strony właśnie ta spontaniczność wypowiedzi, np. krótkich wywiadów na pokładzie samolotu w czasie podróży apostolskich czy też często nieautoryzowanych rozmów z dziennikarzami, była także przyczyną problemów, gdy słowa papieża były niejednoznaczne lub wręcz były rozumiane jako poważna zmiana doktryny wiary. Dotyczyło to także niektórych sformułowań w ogłaszanych dokumentach, jak np. słynnego rozdziału VIII w adhortacji o miłości małżeńskiej *Amoris laetitia* (2016). Właśnie tego rodzaju wieloznaczne wypowiedzi stały się przyczyną niepokoju i zamętu, a nawet prowokowały do oskarżeń papieża o odejście od istotnych katolickich przekonań. Niekiedy wręcz konieczne były sprostowania, jak np. po wydaniu zaaprobowanej przez Franciszka Instrukcji Dykasterii Nauki Wiary *Fiducia supplicans* (2023), w której zawarta została skorygowana później sugestia, jakoby dopuszczalne było błogostawienie związków tej samej płci. Właśnie ten tekst stał się powodem ostrej krytyki papieża szczególnie ze strony biskupów afrykańskich.

Wydaje się, że Franciszek nie doceniał siły współczesnych mediów. To właśnie one wykreowały i podtrzymywały wizerunek papieża, który pragnie ze wszystkich sił zmienić katolicką doktrynę zgodnie z oczekiwaniami środowisk liberalnych, a nie udaje mu się to jedynie z winy otaczających go sklerykalizowanych i niechętnych wszelkim zmianom struktur Kurii Rzymskiej. Odpowiedzialność za słowo nie była najmocniejszą stroną papieża Franciszka.

Skupianie się wyłącznie na problematycznych aspektach pontyfikatu papieża Franciszka byłoby jednak poważną niesprawiedliwością. Z dłuższej perspektywy osoba i dziedzictwo Franciszka zostaną niewątpliwie docenione. Jego pontyfikat był czasem zmian, z których Kościół wyszedł oczyszczony i lepiej przygotowany do skutecznej ewangelizacji współczesnego świata.

Papież Leon

Powodem, dla którego wielu komentatorów telewizyjnych zamilkło, kiedy kardynał protodiakon ogłosił z łoża Bazyliki św. Piotra nazwisko nowo wybranego papieża, był zapewne nie tylko zagłuszający wszystko okrzyk dziesiątek tysięcy ludzi zgromadzonych na placu przed bazyliką. Powodem było też, a może przede wszystkim, całkowite zaskoczenie i gorączkowe poszukiwanie jakichś strzępów informacji wraz z pytaniem: „Kto to w ogóle jest ten Robert Franciszek Prevost?!” Nie tylko dla dziennikarzy, ale dla ogromnej większości wiernych wybór kardynałów był zaskakujący. I trzeba docenić ich suwerenność w podjęciu tej decyzji o niezwyklej wadze, jaką jest wybór papieża przełomu drugiej i trzeciej dekady XXI w. Niewątpliwie trzeba także docenić suwerenność kardynała Prevosta, z jaką podjął pierwsze decyzje związane zarówno z tym, jakie wybierze imię, jak i z tym, w jakim stroju ukaże się wiernym i jakie będą jego pierwsze słowa.

Imię, które wybrał nowy papież, jest dla wielu również zaskakujące. Jego wybór może być ilustracją wypowiedzi jednego z kardynałów, który zapytany, czy nowy papież będzie kontynuował „linię papieża Franciszka”, czy też się od niej zdystansuje, odparł, że kardynałowie nie wybierali następcy papieża Franciszka, ale następcę św. Piotra. Imię Leon XIV każe intuicyjnie przywołać postać ostatniego papieża o tym imieniu, Leona XIII, który sprawował władzę pasterską nad Kościołem w latach 1878-1903. To właśnie on był autorem słynnej encykliki społecznej *Rerum novarum*, która była mocnym głosem przypominającym potrzebę poddania dokonującej się rewolucji przemysłowej zasadom etycznym. Nadał on aktualną postać katolickiej nauce społecznej, upominając się m.in. o prawa robotników, wyzyskiwanych i traktowanych niegodnie w czasach rodzącego się kapitalizmu. Angażował się także w aktywną dyplomację, doprowadzając m.in. do zakończenia prześladowań katolików w ramach tzw. Kulturkampfu w Niemczech, czy też nawiązując relacje dyplomatyczne z ówczesną Rosją. Leon XIII jest też autorem modlitwy do św. Michała Archaniota, która od kilkunastu lat jest znowu odmawiana w wielu polskich kościołach po zakończeniu każdej Eucharystii.

Ale może gdzieś w tle był także inny papież o tym imieniu – Leon Wielki, zasiadający na Stolicy Apostolskiej w latach 440-461. Został on nie tylko ogłoszony świętym, ale także doktorem Kościoła, tzn. kimś, kto w szczególnie głęboki sposób osiągnął rozumienie prawd wiary chrześcijańskiej. Św. Leon Wielki zapobiegł zniszczeniu Rzymu i całej Italii

przez napierające wtedy ludy barbarzyńskie, negocjując z ich przywódcą, Atyllą. Uczestniczył także w Soborze Chalcedońskim, który ostatecznie sformułował dogmat o tym, że Jezus Chrystus jest prawdziwym Bogiem i prawdziwym człowiekiem, a te dwie natury są zjednoczone w Jednej Osobie.

Zapewne te postacie dawnych papieży miały wpływ na wybór imienia przez Leona XIV. Warto jednak zauważyć także inne znaki jego swoistej niezależności. Ukazując się po raz pierwszy wiernym na balkonie Bazyliki św. Piotra, powrócił do tradycyjnego ubioru, z mucetem (czerwoną pelerynką) oraz stułą z wyobrażeniami apostołów. Znalazł też pozdrowienie, które odróżnia go od jego poprzedników, ale jednocześnie jest głęboko biblijne i nawiązuje do ewangelicznych spotkań apostołów z Jezusem zmartwychwstałym.

Każdy papież jest skądś – pochodzi z konkretnego miejsca na ziemi i niesie ze sobą całe bogactwo i cały bagaż swojej rodzinnej historii oraz środowiska i kultury, w których przyszło mu wzrastać. Nie tylko nie może, ale także nie powinien zaprzeczać swoim korzeniom. Powinien raczej próbować wprząc te wszystkie ludzkie czynniki w zadanie bycia pierwszym świadkiem Chrystusa i w służbę jedności. Po to ostatecznie został wybrany: aby być znakiem jedności, aby służyć jedności i zapobiegać rozłamom, przypominając kluczowe prawdy, wspólne dla wszystkich, którzy mienią się być katolikami.

Dotychczasowa droga życiowa Leona XIV wręcz predestynuje go do tej roli. Jest urodzonym Amerykaninem, który wzrastał i uczęszczał do szkoły podstawowej na przedmieściach Chicago. Później ukończył studia licencjackie z matematyki na Uniwersytecie Villanova w Pensylwanii, a następnie uzyskał dyplom z teologii w Katolickim Uniwersytecie Teologicznym w Chicago. Jednak późniejsze studia i praca duszpasterska związane są już najpierw z Rzymem, gdzie uzyskał stopień doktora prawa kanonicznego, a potem z Peru, gdzie najpierw przez ponad dekadę pracował jako misjonarz, a później jako biskup i którego stał się obywatelem. Pełnił też szereg funkcji kierowniczych w zakonie augustianów, którego jest członkiem. Dopiero niedawno, bo w roku 2023 został kardynałem. Leon XIV łączy więc w jakiś sposób w swojej osobie różne, często dzisiaj skonfliktowane światy, kultury i mentalności.

Solidna formacja zakonna sprawia, że można oczekiwać od papieża Leona XIV, że zdoła przywrócić i podtrzymać pokój i jedność w Kościele, pokazując na nowo to, co

najistotniejsze w chrześcijańskiej wierze. Jest też oczywiste, że nie zdoła spełnić wszystkich oczekiwań, jakie wiązane są z jego pontyfikatem. Jednak jego rolą wcale nie jest podobać się wszystkim, ale – zgodnie ze słowami samego Chrystusa – umacnianie braci w wierze (por. Łk 22, 32). Aby temu sprostać, będzie musiał łączyć łagodność ze stanowczością, spontaniczną radość z powagą wiary, otwartość na inaczej myślących z klarowną świadomością własnej tożsamości, miłość ze sprawiedliwością.

Dobrym znakiem takiej właśnie postawy były pierwsze słowa Leona XIV wypowiedziane z balkonu Bazyliki św. Piotra: "Niech pokój będzie z wami wszystkimi, najdrożsi bracia i siostry. Takie było pierwsze pozdrowienie Chrystusa zmartwychwstałego, Dobrego Pasterza, który oddał życie za Bożą owczarnię. Ja także chciałbym, by to pozdrowienie pokoju dotarło do naszych serc, dotarło do waszych rodzin, do wszystkich ludzi, gdziekolwiek się znajdują, do wszystkich ludów, do całej ziemi. Pokój wam!"

Czerwiec 2025

Męczenniczki czasów czerwonego bezprawia

Ludzkość od wieków próbowała „ucywilizować” wojnę, ustanawiając nie tylko *ius ad bellum* („prawo do wojny” – zasady decydujące o tym, kiedy wojna jest usprawiedliwiona), ale także *ius in bello* („prawo wojenne” – zasady, jakich strony konfliktu zbrojnego powinny przestrzegać, kiedy wojna już wybuchnie). Zazwyczaj jednak walczące strony bardzo szybko zapominają o wcześniej ratyfikowanych postanowieniach. Jakiegokolwiek humanitarne hamulce przestają działać szczególnie wtedy, gdy żołnierze mają subiektywne przekonanie, że stoją po właściwej stronie historii, wzmocnione jeszcze przez poczucie bezkarności (bo zwycięzców się ponoć nie sądzi!). Mimo tych powtarzających się w każdej wojnie schematów, zachowanie żołnierzy Armii Czerwonej na terenach ówczesnych Prus Wschodnich w pierwszych miesiącach 1945 r. przekroczyło wszystkie ludzkie i moralne granice.

Radziecka armia okazała się na tych terenach armią gwałcicieli i morderców. Ich ofiarami stała się ludność cywilna, szczególnie kobiety od najmłodszych do bardzo już wiekowych (w jednej ze zbiorowych zbrodni w tym czasie na Warmii najmłodsza

zgwaltcona kobieta miała 8 lat, a najstarsza – 84). Do tych niebywałych okrucieństw doprowadziła z jednej strony komunistyczna ideologia, powiązana z indoktrynacją, zgodnie z którą jakikolwiek objaw litości wobec ludności niemieckiej, szczególnie wobec kobiet, był traktowany niemalże jako zdrada. Z drugiej strony przyczyną było zezwolenie, a nawet nacisk ze strony dowódców, aby możliwie wszyscy żołnierze uczestniczyli w krwawych orgiach zbiorowej zemsty. Opóźniona ewakuacja ludności niemieckojęzycznej z terenów dzisiejszych Mazur i Warmii sprawiła, że całe kolumny uciekinierów dostawały się pod ostrzał sowieckich samolotów, a ci, którzy natknęli się na oddziały Armii Czerwonej czekał jeszcze gorszy los. Zgodnie z późniejszymi statystykami liczba zgwałconych przez czerwonoarmistów kobiet w 1945 r. na terenach niemieckich sięgała dwóch milionów.

Okrutny los stał się też udziałem dziesiątek sióstr zakonnych należących do zgromadzenia sióstr katarzynek. W ostatnich miesiącach wojny zginęły w różnych okolicznościach 102 siostry z tej wspólnoty zakonnej. W dniu 31 maja 2025 w Braniewie odbyła się beatyfikacja s. Christophory Marty Klomfass oraz jej czternastu współsióstr, członkiń zgromadzenia św. Katarzyny. To typowo warmińskie zgromadzenie zostało założone w Braniewie w 1571 r. przez bł. Reginę Protmann. Stało się ono pierwszym w Kościele katolickim żeńskim zgromadzeniem kontemplacyjno-czynnym, które powstało na fali odnowy życia katolickiego mocno osłabionego przez Reformację. Mocny impuls do tej odnowy dał Sobór Trydencki. Do celów zgromadzenia należały opieka nad ubogimi i opuszczonymi, szczególnie służba chorym, ale także kształcenie dziewcząt (siostry prowadziły kilkanaście szkół podstawowych oraz internatów dla dziewcząt), jak i troska o świątynie, szaty i paramenty liturgiczne dla jak najbardziej godnego sprawowania liturgii.

Większość sióstr-męczenniczek pochodziło z Warmii, z lokalnych, przeważnie niemieckojęzycznych rodzin, na co wskazują ich nazwiska. Praca sióstr była ograniczana i poddawana restrykcjom już w okresie przedwojennym, a jeszcze bardziej po wybuchu wojny, kiedy władze nazistowskie nakazały zamknięcie wielu placówek prowadzonych przez siostry. W czasie chaotycznej ucieczki niemieckiej ludności cywilnej w ostatnich miesiącach wojny niektóre siostry towarzyszyły uchodźcom, a inne pozostały ze swymi podopiecznymi, dziećmi i osobami w podeszłym wieku, niezdolnymi do podróży. Część z sióstr została zgwałcona lub zmarła w wyniku odniesionych ran, broniąc swojej godności. Inne zmarły w wyniku ciężkiego pobicia lub też wycieńczenia w sowieckich łagrach.

Siostry stały się ofiarami zemsty na niemieckiej ludności cywilnej, ale także nienawiści ateistycznej ideologii do wszystkiego, co związane z wiarą chrześcijańską. Ich habity stanowiły znak wiary i moralności, z którą ideologia sowiecka walczyła z bezprzykładną bezwzględnością. Pamięć o ofierze sióstr nie zginęła, mimo iż w całym okresie PRLu nie wolno było wspominać tych wydarzeń, a żołnierzom Armii Czerwonej stawiano pomniki jako wyzwolicieli, którzy – jak głosiła sowiecka propaganda – na ówczesnych niemieckich ziemiach zachowywali się humanitarnie i godnie. Sprawcy bestialstwa z 1945 r. nigdy nie zostali osądzeni i pociągnięci do odpowiedzialności za swoje czyny. Braniewska beatyfikacja to przywrócenie pamięci tym, które nawet w samym środku piekła na ziemi zachowały wierność temu, co święte.

Pamięć tych wydarzeń sprzed osiemdziesięciu lat skłania najpierw do szerokiego spojrzenia na historię Kościoła od strony ofiary krwi tych, którzy nawet w najgorszych okolicznościach ocalili wiarę i wierność Chrystusowi. Warmińskie męczenniczki dołączyły do niezliczonego grona uczennic i uczniów Chrystusa, którzy za wierność swojej wierze zapłacili najwyższą cenę. Autentyzm ich ofiary pokazuje się także w tym, że wobec okrucieństwa swych oprawców ocalili nie tylko swą wiarę, ale że Bóg pozwolił zachować ich serca od nienawiści i złorzeczenia. Okoliczności męczeństwa sióstr katarzynek pokazują jednak także ponurą prawidłowość ludzkiej historii. Tam, gdzie zostaje ona zafałszowana w imię ideologii, gdzie sprawcy okrucieństw nie są gotowi do ekspiacji, pokuty i zadośćuczynienia i nie zostaną osądzeni, tam mentalność, która doprowadziła do ich zbrodniczych czynów staje się częścią samoświadomości całych narodów. Wystarczy potem, że pojawią się sprzyjające okoliczności, a do historii ludzkiego okrucieństwa zostaje dodany nowy, ciemny rozdział.

Lipiec 2025

Odkryć osobiste powołanie

Lipiec to nie tylko czas rozpoczynających się wakacji, ale to także czas, w którym abiturienti otrzymują wyniki swoich egzaminów maturalnych. Tym samym jest to czas podejmowania decyzji o dalszej życiowej drodze. Wybór kierunku studiów lub też decyzja o rezygnacji z nich i podjęcie pracy zawodowej, ale też decyzja dotycząca sposobu życia

zazwyczaj nie tylko wpływa na to, jak potoczą się czyjeś losy w ciągu najbliższych miesięcy i lat, ale często są to decyzje wpływające na całe dalsze życie. Zazwyczaj są one podejmowane w oparciu o to, co wydaje się interesujące, co pociąga i pozwoli na realizację pasji i marzeń, a przede wszystkim, co otwiera dalsze życiowe perspektywy i będzie w przyszłości źródłem solidnego zarobku. Również osoby wierzące biorą pod uwagę te wszystkie czynniki. Jednak powinny dodać do tych pytań jeszcze jedno: do czego Bóg mnie powołuje?

Na pierwszy rzut oka to pytanie wskazuje na jakiś obcy czynnik, zewnętrzny wobec moich własnych planów, marzeń i oczekiwań; na kogoś, kto może te oczekiwania przekreślić, bo ma plan na moje życie, który nie ma z moimi oczekiwaniami wiele wspólnego. Takie spojrzenie jest jednak całkowicie błędne. Jego źródłem jest wykrzywiony obraz Boga jako rywala, konkurenta, który usiłuje „z zewnątrz” wtrącać się w ludzkie życie, by użyć człowieka do jakichś własnych celów. Zgodnie z tą logiką Bosko-ludzkiej rywalizacji, im więcej Boga, tym mniej mnie – i na odwrót: jeżeli chcę żyć moim własnym życiem, muszę zmarginalizować do minimum wpływ Boga na moje decyzje. Bóg wiary chrześcijańskiej jest jednak inny. Jest Stwórcą, a więc od niego pochodzi nie tylko to, kim jest człowiek jako osoba, wraz ze wszystkimi swoimi pragnieniami, potrzebami i kreatywnością, ale także to, On wymyślił i stworzył tego konkretnego człowieka, jakim jestem. Kocha mnie i pragnie mojego dobra, a więc także mojego życiowego spełnienia. Dokładnie po to daje mi przykazania, aby zbyt szybkie i nieprzemyślane decyzje, obliczone na natychmiastowe małe sukcesy i satysfakcje, w końcowym efekcie nie zniszczyły ostatecznego sukcesu, jakim jest dopełnienie tego, co mi zostało ofiarowane we chrzcie.

Co zatem w sytuacji rozeznawania swojej życiowej drogi może młodemu człowiekowi doradzić piszący te słowa, a więc ktoś, kto stał dokładnie w tym miejscu przed czterdziestu sześciu laty, trzymając w ręku świadectwo maturalne? Oczywiście wtedy, w 1979 roku wiedział tak samo niewiele, jak dzisiejsi abiturienti, ale z perspektywy lat pewne kwestie stały się jakby bardziej jasne.

A więc po pierwsze: *Ważniejsze od tego, jak ty myślisz, że możesz służyć Bogu, jest zapytanie o to, jak On chce, żebyś Mu służył.* Zazwyczaj zadajemy pierwsze z tych pytań, jakbyśmy powiedzieli Bogu: owszem, chcę Ci służyć, ale na moich warunkach. W tle takiego nastawienia jest właśnie ten krzywy obraz Boga – rywala, z którym trzeba się

wykłócać o odrobinę własnej prywatności. Pozytywna odpowiedź na Boże powołanie zawiera w sobie zawsze sporą porcję zaufania do Boga. Jego perspektywa jest znacznie szersza, niż moje małe, egocentryczne wyobrażenia i właśnie dlatego warto Mu zaufać.

Po drugie: *Bóg nie używa cię jedynie jak narzędzie, które potem, gdy nie jest już potrzebne, można odrzucić.* Jest w takim podejrzeniu spora dawka szatańskiej pokusy, bardzo podobnej do tej z raję, która była dla Ewy tak przekonująca (zajrzyj do Księgi Rodzaju 3, 4-5). Pokusa ta pokazuje nam Boga, który traktuje nas tak samo, jak my czasami traktujemy siebie nawzajem. Często pod pozorem układnych i interesujących propozycji tkwi traktowanie innych jak puzzle w układance. Ktoś, kto mówi mi gładkie i przytulne słowa, chce, żebym wpasował się w jego układankę, nie dlatego, że chodzi mu o mnie, ale mam jedynie posłużyć do realizacji jego własnych celów. Bóg jest inny: realizując Jego powołanie, nie tylko realizujesz jakieś zadanie, ale realizujesz siebie.

I wreszcie, po trzecie, *Sposób życia, do jakiego cię Bóg powołuje jest dokładnie tym, który byś sam wybrał, gdybyś tylko znał siebie samego tak, jak zna cię Bóg.* Nie jest to coś narzuconego niejako „z zewnątrz”, ale jest dokładnie tym, za czym gdzieś w głębi mojego serca tęsknisz, chociaż jeszcze teraz tego nie widzisz. Jest to po prostu coś, co dokładnie pasuje do Bożej myśli, bo Bóg nie stwarza ludzi jak przedmioty, „z taśmy”, ale każdy jest wyjątkowy i unikalny.

Są oczywiście różne powołania, zazwyczaj mówi się o dwóch: do małżeństwa lub do życia konsekrowanego/kapłaństwa. Pewnie jest też powołanie do życia w pojedynkę, chociaż na pewno nie ma powołania do życia egocentrycznego. Takie życie byłoby najlepszą receptą na zmarnowanie wszelkich życiowych szans. Rozeznanie tego, do czego powołuje mnie Bóg i jasny wybór tej drogi jest dzisiaj chyba trudniejsze, niż kiedyś. Jest coś we współczesnej kulturze, co wszczepia młodym ludziom lęk przed podejmowaniem decyzji poważnych, decyzji „na życie”. Takie decyzje, jak się twierdzi, oznaczają odcięcie tak wielu opcji, które można by realizować, że są one odwlekane. Pozytywne w tym nastawieniu jest to, że życiowe decyzje faktycznie nie mogą być podejmowane lekkomyślnie, a ich podjęcie wymaga czasu.

Jednak jest także w tej współczesnej mentalności coś bardzo negatywnego. Brak decyzji dotyczącej kierunku przyszłego życia przeciąga ponad miarę stan niedojrzałości, stan życia niezdecydowanego, a więc także nie zainwestowanego, nie poświęconego jakiemuś ważnemu zadaniu, w ramach którego wszystkie siły są skupione na tym, by

podobać wyzwaniom, jakie przynosi codzienność. Dopiero takie nastawienie pozwala ludziom osiągnąć dojrzałość, mobilizuje, hartuje życiowo, czyni człowieka silniejszym. Wielokrotnie powtarza się to doświadczenie, że człowiek rośnie wraz z zadaniem, które dobrowolnie podjął.

Wybór własnej życiowej drogi jako rozpoznanego Bożego powołania faktycznie odcina wiele innych potencjalnych możliwości. Ale jednocześnie daje spełnienie nieporównywalne do tego przeciągającego się wysiłku, aby zachować otwarte wszystkie inne potencjalne możliwości.

Sierpień 2025

Pora wyruszyć w drogę

Środek wakacji i okresu urlopowego ze słoneczną, ciepłą pogodą zmusza niemalże do mniejszych czy większych podróży. Niektóre są długo planowane, jako swego rodzaju „podróże życia”, inne są wynikiem spontanicznych decyzji, podjętych pod wpływem jakiegoś impulsu (np. fascynacji widokami napotkanymi przypadkowo w Internecie), opowieści wędrowców i podróżników lub w wyniku namowy przyjaciół i znajomych. Wyruszając w drogę człowiek oczekuje mocnych wrażeń, pięknych widoków, pełni urlopowych przyjemności, może też „świętego lenistwa” gdzieś na łonie natury, itp. Z takich podróży wraca się z całą serią zdjęć, które się wcześniej wysłało znajomym, by podzielić się niezwykłymi przeżyciami. Wakacyjne podróże, chociaż wraca się z nich z żalem, że tak krótko..., i że to już..., potrafią dać nowy impuls, odświeżyć i w pewien sposób odmłodzić samoświadomość. Jak wszystkie tego rodzaju przeżycia, są one jednak ulotne, a ich wspomnienie powoli rozmywa się we mgle upływającego czasu pod wpływem nowych wyzwań, obowiązków, wydarzeń...

Jest jednak w tym przyjemnie odczuwanym impulsie skłaniającym do wyruszenia w drogę coś głębszego. Impuls ten nie tylko odzwierciedla ludzką ciekawość, pragnienie zmiany, tęsknotę za wypoczynkiem, ale jednocześnie wskazuje na pewną ważną duchową zasadę. Znajdujemy ją na samym początku Ewangelii Janowej. Kiedy uczniowie Jana zapytali Jezusa: „Nauczycielu, gdzie mieszkasz?”, to było w tym pytaniu coś głębszego, niż tylko pragnienie poznania adresu. Uczniowie chcieli po prostu wiedzieć,

kim jest ten Jezus i czy warto przyłączyć się do Niego. Ciekawe, że Jezus ani nie odpowiedział im jakimś szerokim wyjaśnieniem, ani też nie podał żadnych definicji, ale po prostu zaprosił ich do drogi: „Chodźcie, a zobaczycie” (J 1, 38-39). Można odnieść wrażenie, że Jezus chce im powiedzieć: bez decyzji wyruszenia w drogę nie uzyskacie odpowiedzi na wasze najgłębsze pytania. Odpowiedź, a więc zrozumienie tego, co najistotniejsze, przychodzi w drodze i znajdują ją ci, którzy zdecydowali się wyruszyć. Taki jest też sens tych wielu ewangelicznych scen, w których Jezus zwraca się do poszczególnych ludzi z zaproszeniem: „Pójdź za Mną”.

Pójście za Jezusem jest tym właśnie duchowym wyruszeniem w drogę, którego pewnym powierzchownym odbiciem są wakacyjne wyjazdy. Bo w gruncie rzeczy najgłębsze tęsknoty człowieka dotyczą tego, co trwałe, a nie tego, co ulotne. Chodzi o pragnienie zaspokojenia najgłębszej tęsknoty za sensem życia; chodzi o odpowiedź na pytanie, kim ja właściwie jestem i czy istnieje Ktoś, w kim moja egzystencja jest zakotwiczona. Nie jest przypadkiem, że właśnie w tym okresie wakacyjnego wyruszania w drogę odbywają się różnego rodzaju pielgrzymki. Trudno się dziwić tej niestabnącej popularności, jaką się one cieszą. Szczególnie te, które są wymagające, związane ze zmęczeniem i trudem, z ciężarem własnego plecaka lub niepomyślną pogodą. Na pierwszy rzut oka są one czymś dokładnie odwrotnym od typowego wakacyjnego wyruszenia w drogę, wraz ze wszystkimi ułatwieniami i przyjemnościami, jakie oferuje dzisiejszym „letnikom” branża turystyczna. A jednak to właśnie w pielgrzymiej drodze potrafią dokonać się kluczowe zmiany, za którymi człowiek podskórnie tak bardzo tęskni, decydując się na wakacyjne wyruszenie z domu. Na powierzchni pielgrzymkowego doświadczenia człowiek ociera się boleśnie o swoje cielesne i psychiczne ograniczenia lub też zмага się z niezłatwionymi sprawami z przeszłości, które potrafią niespodziewanie i ze zdwojoną siłą powrócić do świadomości. Kumulujące się w miarę upływu dni zmęczenie, konfrontacja z własnymi ograniczeniami i dziwacznymi, czasem wręcz egocentrycznymi zachowaniami, o które by człowiek siebie nawet nie podejrzewał, ale także rozczarowujące zetknięcie się z takimi samymi zachowaniami innych, stają się dodatkową trudnością już i tak niełatwej pielgrzymkowej drogi. Jednak w głębi duszy pojawia się jakiś duchowy ruch, rośnie nowa, pozytywna dynamika. Powoli dokonuje się proces uzdrawiania, pojawia się umiejętność pojednania z własną przeszłością, ale także z konkretnym kształtem własnej egzystencji: kondycją, wiekiem, historią życia. Wraz z tą

zdolnością pojawia się też nowa jakość relacji z Bogiem. Człowiek robi kolejny krok w kierunku tej największej Tajemnicy i dzięki temu w pewnym stopniu zaspokaja najgłębszy głód, ukrywający się na dnie wszystkich innych ludzkich głodów.

Każda pielgrzymka pozostawia oczywiście również wiele powierzchownych wrażeń, impulsów, wspomnień – jak każda inna podróż, w którą człowiek wyruszył. Jednak ten wewnętrzny proces, który pielgrzymkowe wyruszenie w drogę zainicjowało, pozostaje. Staje się częścią osobowości, poprawia jej stabilność, przydaje jej odporności w obliczu codziennych wyzwań, pozwala inaczej znosić małe i wielkie utrapienia życia. W tym procesie zdrowienia obecny jest Bóg, który właśnie na pielgrzymim szlaku realizuje swoją obietnicę: „Chodźcie, a zobaczycie”.

Wrzesień 2025

Taktyka salami

W Wielkim Słowniku Języka Polskiego czytamy, że jest to metoda „osiągania celu polegająca na stosowaniu wielu kolejnych bardzo drobnych i dyskretnych działań, które są niezauważalne dla chcących przeciwdziałać osiągnięciu tego celu lub przez nich bagatelizowane, a kiedy te osoby się zorientują, jest już za późno, aby osiągnięcie celu uniemożliwić”. Taktyka ta jest w ostatnich dekadach stosowana z wielkim powodzeniem przez ugrupowania polityczne i wpływowe grupy społeczne, których celem jest reedukacja społeczeństw na szeroką skalę, by zastąpić chrześcijańską wizję człowieka odmienną, liberalną koncepcją. Elementy tej metody są widoczne w projekcie wprowadzenia do polskich szkół nowego przedmiotu noszącego nazwę edukacja zdrowotna.

Dla wielu rodziców i nauczycieli sprzeciw Kościoła wobec tego nowego przedmiotu jest niezrozumiały. Cóż może być nieodpowiedniego w przekazywaniu dziecku wiedzy o ciele, dojrzewaniu, emocjach, o tym, co służy a co szkodzi zdrowiu, a także we wdrażaniu młodego człowieka w takie postawy i zachowania, które pozwolą mu podejmować odpowiedzialne i prozdrowotne decyzje życiowe? Na tym poziomie ogólności nie ma w tym oczywiście niczego złego. Co więcej, można stwierdzić, że tego typu wiedza powinna być dziecku w szkole przekazywana. I tak się działo do tej pory – na

zajęciach z biologii, w ramach wychowania do życia w rodzinie czy też lekcji tematycznych. Problem polega na tym, że te potrzebne i właściwe zagadnienia zostają w nowym programie ściśle powiązane z zagadnieniami wysoce problematycznymi, a także ukazane w kontekście, który może destrukcyjnie wpłynąć na dorosłe życie dzisiejszych uczniów.

Na tym właśnie polega taktyka salami. W wypadku edukacji zdrowotnej znajduje ona swoje odzwierciedlenie w dwóch równolegle stosowanych działaniach. Pierwsze z nich polega na ukrytej redefinicji kluczowych pojęć uznanego do tej pory systemu wartości. Nie atakuje się ich, ale zmienia się ich znaczenie, tak że służą realizacji nowej wizji. Drugie działanie dotyczy powiązania w jedną całość pożytecznych i bezsprzecznie dobrych treści i postulatów z tymi, które wzbudzają sprzeciw i dlatego nigdy by nie uzyskały powszechnej akceptacji. W programie edukacji zdrowotnej dotyczy to takich kluczowych pojęć jak płeć, małżeństwo czy rodzina. Płeć staje się kwestią do ustalenia, istnieje też cały szereg równorzędnych modeli relacji seksualnych: partnerskich, małżeńskich, formalnych i nieformalnych. Omawiana ma być kwestia orientacji psychoseksualnej oraz tożsamości płciowej (obydwa pojęcia należą do kluczowych elementów genderowej koncepcji płci). Wiedza dotycząca seksualności nie jest w tym programie w ogóle związana z relacją małżeńską, która zostaje całkowicie zmarginalizowana. Pojawiają się też takie pojęcia jak np. „partnerska norma seksualna”, różna od normy moralnej czy religijnej. W kontekście omawiania kwestii prawnych i społecznych związanych z przynależnością do grupy osób LGBTQ+ jest mowa o stereotypach płciowych, którym należy przeciwdziałać.

Taktyka salami była z powodzeniem stosowana przez środowiska radykalnej lewicy już w przeszłości. Dość wspomnieć np. tzw. *Konwencję Stambulską*, czyli uchwaloną w 2011 r. *Konwencję o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej*. Do niezwykle ważnych postulatów ochrony kobiet, jakie zawiera ta konwencja, dodano w kilku miejscach dokumentu wskazanie, że jego postanowienia mają być aplikowane w świetle genderowego rozumienia płci. Ta wskazówka zmieniała całkowicie sens wielu istotnych postanowień dokumentu. Podobny zabieg jest nadal stosowany poprzez powiązanie antykoncepcji i aborcji z pojęciem „zdrowia reprodukcyjnego”, przez co zostają one także włączone w katalog praw człowieka. Takie podejście umożliwia zastosowanie szantażu moralnego wobec wszystkich, którzy tego

typu inicjatywy krytykują. Każdemu, kto nie zgadza się na wiązanie genderowej koncepcji płci z kwestią przemocy wobec kobiet, zarzuca się nienawiść wobec kobiet, popieranie stosowania wobec nich przemocy i torpedowanie prób zapewnienia im należytej ochrony zdrowia. Kto nie chce, by aborcję przedstawiać jako element zdrowia reprodukcyjnego, może być oskarżony o naruszanie praw człowieka, co jest już nie tylko nieprzyjemnym pomówieniem, ale może pociągnąć za sobą sankcje karne. W ten sam sposób sprzeciw wobec edukacji seksualnej jest określany jako wyraz ciemnoty, która sprawia, że dzieci są trzymane w niewiedzy, czego pokłosiem jest wiele dramatycznych przeżyć w okresie dojrzewania.

Forsowana przez radykalną lewicę edukacja zdrowotna jest propozycją tym bardziej problematyczną, że chociaż przedmiot został już wprowadzony, nie ma jeszcze podręcznika, ani szczegółowego programu zajęć. Pomysłodawcy nowego przedmiotu liczą zapewne na to, że jeżeli zadamowi się on już w szkole, będzie można w szczegółach wypromować liberalną wizję ludzkiej seksualności oraz genderową koncepcję płci wraz ze wszystkimi tego konsekwencjami. To, czy zamiar radykalnej reedukacji polskiego społeczeństwa się powiedzie, będzie zależało od rodziców i nauczycieli.

Październik 2025

Nowi święci z sąsiedztwa

„Święci z sąsiedztwa” – to wyrażenie papieża Franciszka, który często wskazywał na świętość w zwyczajnej codzienności, na ludzi duchowo wyjątkowych, którzy jednak całe swoje życie wykonywali zwyczajne zajęcia i żyli w prostych warunkach. Kiedy przypatrujemy się takim zwyczajnym świętym, widzimy wyraźnie, że w życiu chrześcijańskim o wiele ważniejsze od „CO?” jest „JAK?”. To, czy ktoś, dzięki swoim zdolnościom, osobistym natchnieniom czy też powierzonej mu misji dokonuje wielkich dzieł, jest niewątpliwie istotne, ale ostatecznie nie suma dokonanych czynów będzie decydowała o jego świętości. O wiele bardziej liczy się to, w jaki sposób i w jakim duchu ktoś przeżywa swoją codzienność: czy czyni to z miłością ku Bogu i ludziom, czy też raczej daje się porwać przez gorączkę aktywizmu i pod świętymi szyldami buduje swoje własne królestwo. To papież Franciszek zdecydował o tym, że Carlo Acutis i Pier Giorgio Frassati

zostaną ogłoszeni świętymi, jednak jego śmierć sprawiła, że planowana kanonizacja mogła się odbyć dopiero 7 września 2025 r., po potwierdzeniu tej decyzji przez nowego papieża Leona XIV. Warto przynajmniej pobieżnie przyjrzeć się nowym świętym.

Pier Giorgio Frassati (ur. 1901 r.) od dzieciństwa był zaznajomiony z problematyką społeczną. Jako syn właściciela i wydawcy dziennika *La Stampa*, który stał się jedną z najbardziej opiniotwórczych gazet we Włoszech, musiał mimowolnie nasiąknąć tą problematyką. Czas jego krótkiego życia to okres rewolucji przemysłowej i społecznej i związanych z nią intensywnych zmagani o godne warunki życia dla niższych warstw społecznych. Jest to także czas, w którym została zapoczątkowana i zaczęła się intensywnie rozwijać katolicka nauka społeczna, wraz z kluczową encykliką papieża Leona XIII *Rerum novarum*, dotyczącą kwestii robotniczej (ogłoszoną w 1891 r.). Pier Giorgio był zaangażowany w działalność Akcji Katolickiej, a także w ruch skautowy. Zaangażowanie społeczne było dla niego istotnym elementem prawdziwego życia Ewangelią. Powiedzenie, które przylgnęło do niego jako życiowa dewiza: *Verso l' alto!* (*W górę!*) związane było z jego życiową pasją – alpinizmem. Najbardziej charakterystyczne z pozostałych po nim zdjęć to fotografie zrobione w czasie wspinaczki górskiej. Jako dwudziestojednolatek został dominikańskim tercjarzem. Wraz ze swymi przyjaciółmi Frassati założył w 1924 r. nieformalną grupę, którą nazwał „Stowarzyszenie Ciemnych Typów” (*Società dei Tipi Loschi*). Celem stowarzyszenia była z jednej strony realizacja własnych pasji, szczególnie wypraw w góry, z drugiej zaś – apostołat żywej wiary i modlitwa.

Urodzony dziewięćdziesiąt lat później (1991 r.) Carlo Acutis jest już całkowicie człowiekiem naszych czasów. Tym, co od razu rzuca się w oczy na pozostałych po nim fotografiach, jest jego gęsta czupryna i roześmiane oczy. Przystąpił do wczesnej pierwszej komunii św. już w wieku siedmiu lat. Sam tego mocno pragnął, a jego prośba została rozeznana przez rodziców i duszpasterzy, którzy potwierdzili wystarczający poziom jego formacji. Jako gimnazjalista zaczął codziennie uczęszczać na Eucharystię i często korzystał ze spowiedzi św. Pełen pasji, jak każdy młody człowiek, aktywny w gronie koleżeńskim i zainteresowany sportem, pasjonował się szczególnie nowymi możliwościami technicznymi, jakie dają współczesne media. Projektował strony internetowe, na których dokumentował cuda eucharystyczne. Jak nieprzeciętnym, przy całej swojej zwyczajności, musiał być człowiekiem, pokazuje powiedzenie, uchodzące za

jego życiowe motto: „Wszyscy rodzą się jako oryginały, ale wielu umiera jako kserokopie”. Carlo umarł jako wyjątkowy i niepowtarzalny oryginał, nie w znaczeniu spektakularnych dokonań czy wypowiedzi, ale jako ktoś, kto odkrył i wypełnił tę jednorazową misję, jaką Bóg składa w serce człowieka, powołując go do istnienia.

Chociaż każdy z nich był inny – żyli przecież w różnych czasach – to jednak jest wiele cech, które ich łączą. Obydwaj byli Włochami i osobami świeckimi, w pełni ludźmi swoich czasów, chociaż jednocześnie wyrazistymi znakami Bożej obecności. Obydwaj byli pasjonatami, nie uznającymi połowiczności. Boże natchnienia stawały się dla każdego z nich życiowym programem, w realizacji którego nie uznawali kompromisów. Właśnie ten wypełniający ich serca Boży żar sprawił, że ich życie promieniowało na otoczenie. Obydwaj też zmarli w bardzo młodym wieku. Frassati zmarł 4 lipca 1925 r. w wieku dwudziestu czterech lat, w wyniku najostrzejszej postaci choroby Heinego-Medina, natomiast Acutis został zabrany z tego świata 12 października 2006 r. jako zaledwie piętnastolatek. Przyczyną jego śmierci była białaczka o wyjątkowo ostrym przebiegu.

Ich wspólna kanonizacja ma jeszcze jeden istotny wymiar. Frassati i Acutis reprezentują dwa najistotniejsze wymiary posłannictwa Kościoła: posługa słowa i sakramentów oraz posługa miłości. W swojej pierwszej encyklice *Deus caritas est* papież Benedykt XVI bardzo mocno podkreślał, że Kościół ocali swoją tożsamość jedynie wtedy, gdy zachowa nierozzerwalny związek między posługą sakramentalną i dziełami miłości: „[...] praktyka miłości wobec wdów i sierot, wobec więźniów, chorych i wszystkich potrzebujących należy do jego istoty w równej mierze, jak posługa sakramentów i głoszenie Ewangelii” (nr 22). Ukazując wiernym nowych „świętych z sąsiedztwa” Kościół na nowo zaprasza do odnowienia każdego z tych wymiarów posługi, do jakiej Chrystus ciągle na nowo zaprasza i zobowiązuje swoich uczniów.

Listopad 2025

Matka Pana i Matka wierzących

Każdy z tych dwóch tytułów maryjnych – mimo słownego podobieństwa – w różny sposób używa pojęcia „matka”. Chodzi oczywiście o Maryję, Matkę Jezusa. Chrześcijan

wywodzący się z reformacji są w stanie zaakceptować tytuł „Matka Pana”, gdyż był używany w chrześcijaństwie pierwszych wieków, rozumieją go jednak w sensie jednorazowego zadania, do jakiego Bóg powołał Maryję. Nie wynika z niego, w ich mniemaniu, ani szczególny status Maryi, ani jej wyjątkowa rola w dziele zbawienia. Dla wrażliwości protestanckiej każde wyakcentowanie jej osoby było równoznaczne z niedopuszczalnym pomniejszeniem znaczenia i roli Jezusa Chrystusa. Takim niedopuszczalnym wyakcentowaniem byłby dla protestantów tytuł „Matka wierzących”, który jednak jak najbardziej odpowiada wierze i pobożności katolików i prawosławnych, odnoszących się do Maryi z wielką czcią. Tak, jak na przestrzeni wieków we wspólnotach protestanckich dochodziło do pomniejszania roli Maryi, a nawet niechęci wobec niej, tak też niekiedy w pobożności katolickiej mieliśmy do czynienia z przeakcentowaniem znaczenia Maryi, podnoszonej niemalże do rangi „instancji pośredniej” pomiędzy Bogiem a ludźmi. Wyjaśnieniu (nie)adekwatności niektórych tytułów maryjnych, używanych w pobożności katolickiej poświęcona jest najnowsza nota doktrynalna Dykasterii Nauki Wiary zatytułowana *Mater Populi fidelis*, zaaprobowana przez papieża Leona XIV w dniu 7 października 2026 r., a więc we wspomnienie Matki Bożej Różańcowej.

Nota wywołała pewne poruszenie w środowiskach, w których rozwinęły się nowe formy pobożności maryjnej, wyrażone w tytułach maryjnych, które mogą być niewłaściwie rozumiane. Watykańska Nota zwraca uwagę szczególnie na problematykę dwóch tytułów maryjnych: „Współodkupicielka” oraz „Pośredniczka”. Obydwa tytuły pojawiają się bowiem w niektórych formach paraliturgicznej i ludowej pobożności i zwracanie uwagi na możliwość ich błędnego rozumienia bywa czasem odbierane jako rugowanie ze świadomości wiernych kultu maryjnego. Nic takiego jednak nie jest celem Noty. Zwraca się w niej uwagę na to, że chociaż obydwie te tytuły były używane w niektórych nurtach tradycji katolickiej, a nawet przez niektórych papieży, to jednak dzisiaj używa się ich nie zawsze precyzyjnie, zmieniając ich znaczenie lub błędnie je interpretując. Dlatego w Nocie stwierdza się, że „gdy jakieś wyrażenie wymaga licznych i nieustannych objaśnień, by nie zostało błędnie zrozumiane, nie służy wierze Ludu Bożego i staje się niestosowne” (Nota, nr 22).

Właściwa pobożność maryjna bazuje na łącznym uwzględnieniu dwóch pewników wiary. Pierwszym jest potwierdzona przez świadectwo Nowego Testamentu niezwykle głęboka współpraca Maryi z planem zbawienia. Jest ona dziewiczą Matką Jezusa i

uprzywilejowanym świadkiem wydarzeń z pierwszych lat życia Jezusa, a także osobą, która w szczególny sposób została obdarzona Bożą łaską, dzięki której charakteryzuje ją także szczególna świętość. Równie bezdyskusyjna pozostaje jednak prawda wiary, że odkupienie rodzaju ludzkiego dokonało się jedynie przez Misterium Paschalne Jezusa Chrystusa. W związku z tym do Niego i tylko do Niego odnosi się w pełnym tego słowa znaczeniu tytuł Odkupiciela i Pośrednika. Bezrefleksyjne używanie tytułu „Współodkupicielka” lub „Pośredniczka” sugerowałoby, że istnieje jakaś przestrzeń dzieła odkupienia, która jest niezależnym dziełem Maryi, co byłoby po prostu herezją. Dokonane przez Chrystusa dzieło odkupienia jest kompletne i niczego mu nie brakuje. Jeżeli św. Paweł stwierdza, że w swoim ciele dopełnia braki udręk Chrystusa (Kol 1, 24), to nie ma na myśli jakiegoś braku dotyczącego samego dzieła odkupienia, ale odnosi się do wartości zbawczej każdego cierpienia, jeśli zostanie przez cierpiącego połączone z Męką Chrystusa. Dlatego tytuł Współodkupicielki uznany został w Nocie za zawsze niestosowny. Natomiast tytuł Pośredniczki powinien być używany zawsze w znaczeniu podporządkowanym, tak by nie było wątpliwości, że „w żaden sposób nie ma na celu dodania skuteczności ani mocy jedynemu pośrednictwu Jezusa Chrystusa, prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka” (Nota, nr 25). Chociaż Maryja uczestniczy w dziele zbawienia od początku w sposób szczególny, to różne formy tego uczestnictwa (a więc w pewnym sensie także pośrednictwa), odnoszą się do wszystkich wiernych, którzy przez swoje zaangażowanie i święte życie przekazują światu Ewangelię. „Chrystus umożliwia różne formy pośrednictwa w realizacji swojego zbawczego planu, ponieważ w komunii z Nim wszyscy możemy być w pewien sposób pomocnikami Boga, «pośrednikami jedni dla drugich»” (Nota, nr 28).

Jak podkreślono w Nocie, należy także „unikać tytułów i wyrażeń odnoszących się do Maryi, które przedstawiają Ją jako swego rodzaju «piorunochron» wobec sprawiedliwości Pana, jak gdyby Maryja była konieczną alternatywą dla niewystarczającego miłosierdzia Boga” (Nota, nr 37).

Warto jeszcze wskazać na użyty w Nocie tytuł maryjny, który wydaje się szczególnie adekwatny i wartościowy, a należy do mało znanych i rzadko używanych w pobożności. Chodzi o określenie „pierwsza Uczennica”. Słowo uczeń (gr. *mathetes*) jest jednym z kluczowych określeń Nowego Testamentu na kogoś, kto przyjmuje Jezusa i

dzięki Niemu, w mocy Ducha Świętego oddaje siebie Ojcu niebieskiemu. Maryja uczyniła to jako pierwsza z ludzi i to w najbardziej doskonały sposób.

Grudzień 2025

Ponure oblicze cywilizacji śmierci

Kiedy Jan Paweł II na przełomie tysiącleci zaczął mówić o „kulturze śmierci”, która wytwarza „cywilizację śmierci”, oskarżano go o sianie defetyzmu, o kompletne niezrozumienie dynamiki postępu społecznego, o wsteczność i nieuleczalny konserwatyzm. Niestety, okazuje się, że jego prorocze słowa były aż nadto prawdziwe. „Niestety” – bo zapewne sam Jan Paweł II chętnie przyznałby, że się pomylił, gdyby stało się inaczej, niż przewidywał. Tymczasem pojawiają się coraz to nowe sygnały wskazujące, że polski papież miał rację. Jednym ze znamion „cywilizacji śmierci” jest to, że zamachy na ludzkie życie nie są już dokonywane w kontekście brutalnej, ściganej przez ustawodawstwo i potępianej przez opinię publiczną przemocy, ale zyskują otoczkę czynów niemalże szlachetnych i w coraz to większym stopniu są sankcjonowane przez prawo państwowe.

Przepowiednia Jana Pawła II przychodzi niemalże automatycznie na myśl w kontekście takich wydarzeń, jak śmierć dwóch niemieckich ikon show-businessu – bliźniaczych sióstr Alice und Ellen Kessler. W naszym kraju siostry Kessler nie były aż tak szeroko znane, jak w Niemczech, gdzie rozpoczęła się i rozwinęła się ich kariera (jej kulminacją był własny program telewizyjny) lub też we Francji lub we Włoszech gdzie stały się niezwykle popularne jako tancerki, piosenkarki i gwiazdy programów rozrywkowych. Ich kariera przypadła na czas powojennego cudu gospodarczego w Niemczech. Ich twórczość towarzyszyła społeczeństwu, które po bolesnych doświadczeniach wojny w niezwykle krótkim czasie zaczęło cieszyć się luksusem i nieskrępowaną wolnością oraz doświadczać konsumpcyjnego szczęścia. Siostry Kessler ucieleśniały w swojej twórczości tę powojenną epokę wolności, dobrobytu i wiecznej zabawy. Nigdy nie założyły własnych rodzin, deklarując wielokrotnie, że nie żałują, iż nie wyszły za mąż i nie mają własnych dzieci.

17 listopada 2025 roku 89-letnie siostry Kessler zostały znalezione martwe w swoim domu w Grünwald na Bawarii i – jak się okazało – zmarły śmiercią samobójczą, wspomagane w akcie odebraniu sobie życia przez osoby trzecie. Kluczową rolę w tym wydarzeniu odegrała organizacja o nazwie Niemieckie Towarzystwo Humanistycznego Umierania (DGHS – *Deutsche Gesellschaft für Humanes Sterben*). Jej aktywiści potwierdzili, że siostry należały do tej organizacji i od dłuższego już czasu konsultowały z nią możliwość popełnienia samobójstwa. Same też wyznaczyły datę i w wybranym przez siebie dniu, dzięki wsparciu aktywistów z DGHS, wspólnie odebrały sobie życie.

Ze statystyk wynika, że od 2020 roku, w którym w Niemczech wprowadzono prawo depenalizujące pomoc w samobójstwie, liczba osób korzystających z tej możliwości rośnie. Depenalizacja oznacza, że pomoc w samobójstwie pozostaje niekaralna. Osoby podejmujące akty samobójcze z pomocą innych podają jako powód takiej decyzji chroniczną chorobę oraz „wyczerpanie życiem”. Są to w większości osoby w podeszłym wieku, dlatego miejscem dokonania samobójstwa bywają nierzadko domy opieki. Katolickie placówki tego typu w Niemczech, jak dotąd, zdecydowanie odmawiały zgody na dokonywanie wspomaganego samobójstwa na ich terenie. Aktywiści DGHS już zapowiadają, że podejmą kroki prawne przeciw takim placówkom. W ten sposób osoby, instytucje i organizacje opowiadające się za ochroną życia ludzkiego jako wartości fundamentalnej mogą zostać oskarżone o naruszanie prawa potencjalnych samobójców do samostanowienia.

Okoliczności śmierci sióstr Kessler pokazują dramatyczną erozję wartości życia ludzkiego. Nie jest ono już wartością fundamentalną, która byłaby punktem odniesienia dla moralności społecznej oraz nienegocjowalną podstawą solidarności społecznej, jak też stanowiłaby zobowiązujący punkt odniesienia dla instytucji państwowych i systemu prawnego. Życie zostaje zredukowane do rangi wartości co najwyżej opcjonalnej, a do tego jest traktowane jako własność człowieka, analogicznie do rzeczy, które posiada. To autonomia jednostki staje się wartością najwyższą. Sytuacja, w której jednostka chce się targnąć na własne życie była do tej pory traktowana jako symptom chorobowy lub też przejaw ostrego kryzysu osobowościowego, wobec którego otoczenie i państwo mają obowiązek – przynajmniej na jakiś czas – chronić taką osobę przed nią samą, do czasu odzyskania psychicznej stabilności. Wobec dokonanych w niektórych państwach europejskich nowelizacji prawa depenalizujących wspomaganie samobójstwo (poza

Niemcami zrobiła to także Austria), otoczenie – przy przyzwalającej passywności państwa – staje się współsprawcą ataków na życie potencjalnego samobójcy.

Nie jest to jedynie marginalna, ale wręcz fundamentalna zmiana, dokonująca się nie tylko w ustawodawstwie, ale także w mentalności społecznej. Musi ona doprowadzić do rozpadu dotychczasowych form solidarności społecznej, np. opieki zdrowotnej. System składek zdrowotnych można w pewnym uproszczeniu opisać jako umowę społeczną, w ramach której wszyscy wpłacają do wspólnej kasy, by ze zgromadzonych pieniędzy mogli korzystać szczególnie ci, których dotyczą choroby. Pozostali, którzy mają to szczęście przeżyć swoje życie w relatywnym zdrowiu, nie będą mieli żadnego tytułu do wypłaty pieniędzy, które przez dziesięciolecia wkładali do systemu, ale z nich nie musieli skorzystać. Przypadły one bowiem w udziale innym – bardziej potrzebującym. Jeżeli jednak życie (a więc i zdrowie) stają się jedynie wartościami opcjonalnymi, to w imię czego miałyby się je ratować za cenę dużych nakładów finansowych, skoro człowiek może je potem w majestacie prawa odrzucić?

„Cywilizacja śmierci” rozpoczyna na dobre swój ponury pochód.

Ks. Marian Machinek MSF